

Pamiętam, że przed naszym domem był wielki, okrągły klomb z różami i podjazd dla powozów i samochodów wokół niego. Kolumny ganku porośnięte były... zaraz, zaraz, dzikim winem? Chyba tak, bo jesienią czerwieniało i złociło się, tak mówiła zawsze Hanka.

To było ładne słoneczne popołudnie, gdy usłyszeliśmy warkot. Zajechały dwa samochody. Piotrek podskoczył do okna i krzyknął do nas:

— To Niemcy!

Bawiłam się moją lalką na dywanie, a Hania siedziała przy fortepianie i udawała, że ćwiczy. Jakubowa — nasza kucharka — cerowała skarpety Jaškowi, chłopakowi stajennemu, i nuciła pod nosem. Druciane okulary ma od niedawna. Nie nawykła do nich. Wiszą jej na końcu nosa, a ona robi taką śmieszna minę i ceruje równiutko, ładnie. Jakubowa jest jak nasza babcia. Duża, gruba, lekko utyka i zawsze pachnie obiadem. Najbardziej lubię, kiedy jej ręce pachną szczypiorkiem, który nam sieka do kanapek.

Siedzi, na szklance ma napiętą tę skarpetkę, a dolną wargę śmiesznie wysuwa, marszczy brwi i sprawnie robi igłą gęstą siateczkę w miejscu dziury.

Teraz odłożyła robótkę, ciężko wstała i podeszła do okna.

— Ano, że Niemcy! — powiedziała nerwowo i wzięła mnie na rękę.

Miałam może pięć lat... Te słowa: „okupacja”, „Niemcy”, „Hitler” budziły we mnie taką samą groźbę jak „smok” i „Baba Jaga”, „Strzyga” i „Lucyfer”. Byłam przestraszona, że widzę prawdziwych Niemców — żołnierzy. W mundurach. Bo Niemców, naszych sąsiadów, starszych państwa Roewe, znałam i lubiłam. Czasem odwiedzali tatkę i mamę. Ale czym innym byli Niemcy — nasi sąsiedzi i znajomi — a czym innym ci w mundurach... Bałam się ich, bo Hanka i Jakubowa opowiadały straszne rzeczy o wojnie, okupacji, zabijaniu i trupach.

— Piotruś — powiedziała Jakubowa. — Po co oni tu? Nie wiesz?

— Nie wiem — odparł mój przyrodni brat, wpatrując się w ganek, na który dziarskim krokiem wskoczył niemiecki oficer, i drugi zaraz potem.

Naprzeciw nim, z domu, wyszli mama i tatko. Rozmawiali spokojnie. Mama miała dłonie złożone jedna na drugą, na sukience, z przodu. Zawsze tak składała ręce, kiedy była bardzo oficjalna.

— Czego chcą?! — denerwowała się Jakubowa, trzymając mnie mocno w objęciach. Rzadko brała mnie na rękę, bo byłam już duża i nie uchodziło, żeby taką pannicę nosić, mawiała mama, ale i ona brała mnie na kolana, jak mi się śniła Strzyga...

— Otworzę okno, to usłyszymy — zaproponował Piotrek.

— Bój się Boga! Może nie potrzeba się zdradzać, że tu jesteśmy... Ty, Piotruś, idź i podsłuchaj... Patrz, idą do domu rozmawiać. Idź, dziecko!

— Nie powinno się podsłuchiwać — Piotr udawał, że żartuje, ale chyba nie było mu do żartów.

— Idź! — Jakubowej też nie było wesoło. Popchnęła go lekko w kierunku drzwi i poszła za nim, a za nią Hania i ja.

Nadawał się na szpiega jak nikt inny. Stał lekko i cicho. Ja chichotałam nerwowo, a Hania kładła palec na usta i syczała. Za to Jakubowa człapała tak, że wystraszyłyby wszystkich.

Właściwie to ona była Jakubaszkowa, ale dla skrótów wszyscy wołali „Jakubowa”. Była naszą kucharką, nianią i jakby babcią — której nie mieliśmy.

Zatrzymaliśmy się za drzwiami, za którymi słychać było całą rozmowę mamy, taty i oficera. Rozmawiali po niemiecku. Byłam cicho i nic nie rozumiałam, za to Piotr, Hania i Jakubowa — wszystko. Kręciła głową z dezaprobatą.

— Zajmują majątek na kwaterę — szepnęła do mnie, nie do mnie?

W majątku rodziców była Jakubowa — najstarsza ze służby, a także Sabina — służąca, Wacka — dziewczyna kuchenna, taka trochę głupawa, i Rafał — lokaj, którego już wtedy nie było z nami, bo wzięli go do wojska. Niemieckiego.

Nasz majątek to piękny dom z piętrem, park, sad, ogród warzywny (chluba mamy) oraz stajnie tatki, obory, świniarnie, kurniki, pola orne, park maszynowy, którymi zarządzał pan Gotfryd — ekonom i prawa ręka tatki. Wiem to wszystko od mamy, z opowiadań.

Drzwi się otworzyły i weszła mama.

— Jakubowo, trzeba zawołać Wackę i Sabineę. Od dziś będą u nas kwaterować niemieccy oficerowie — sześciu — i podoficerowie — dziesięciu. Trzeba zrobić przemeblowanie i powlec pościele. Podoficerowie dadzą swoje koce. Piotrusiu, zawołaj Jaśka, trzeba przenieść nas do służbówki. Mamy na to dzień.

Zrobił się wielki rejwach, a ja nie mogłam pojąć, dlaczego usuwamy się z naszych pokoi. Przecież przyjezdni zawsze nocowali w pokojach gościnnych i na poddaszu. Pakowałam moje zabawki do wiklinowego kosza zła na cały świat.

Kwaterowanie niemieckich żołnierzy wspominałam pogodnie. Wcale nie byli straszni, nie pożerali dzieci i nikogo nie zabijali. W pomieszczeniach, które były nasze, a w których teraz kwaterowali oni, pachniało papierosami i wodą kolońską jak u tatki w gabinecie, gdy jeszcze palił fajkę. Pośrodku rozstawili wielki stół, a na nim były mapy i papiery. Widywaliśmy to przez szparę w drzwiach! Zdarzało się, że dawali mi miętówki albo częstowali kolorowymi landrynkami z metalowego pudełka. Hanka i Piotrek zawsze dziękowali, ale ja nie mogłam się oprzeć. Ten pan był taki miły, a landrynki słodkie...

Kiedyś spytali mamę, czy mogliby pograć na fortepianie, i grali tak cały wieczór. Nawet mama dołączyła, bo grali coś na cztery ręce. Jakieś polki, marsze...

Tak. Najpierw byłam zła, gdy musieliśmy się wynieść z naszych pokoi, ale później... było jeszcze gorzej. Tato musiał pozbywać się naszego bydła, świń, koni. Pojawiły się kartki na wszystko. Już nie wróciliśmy do środkowej części domu, tylko mieszkaliśmy w dwóch, małych pokojach obok kuchni, bo tamtych salonów nie opłacało się zimą ogrzewać.

Zrobiło się biednie. „Oszczędnie” — jak mówiła mama. Bardzo mi się podobała ta oszczędność, szczególnie jak jesienią piekliśmy rydze na blasze albo podpłomyki z mąki, wody i kminku... Jakubowa robiła nam cukierki z melasy i mleka, piekła piernik, taki cudowny, mokry, z marchwią. Mieliśmy kury, więc uwielbiałam kogle-mogle i tylko rodzice czymś się zamartwiali, szepcząc między sobą lub przyjmując nocą jakichś gości po cichutku. O tych nocnych gościach nie wolno nam było pisać słowem. Nikomu.

Pamiętam jesienne wieczory, gdy siedzieliśmy w kuchni, do której wniesiono otomanę i fotel tatki. Wieczorami mama czytała na głos różne książki, Jakubowa szyła, cerowała albo robiła na drutach, oczywiście, jak już pozmywała po posiłku. Hanka bujała się na bujaku sama albo ze mną, a Piotr siedział przy stole i trzymał głowę opartą na swoich piąstkach. Trzymał je jedna na drugiej i patrzył w popielnik. Czasem w tym popielniku leżały ziemniaki na „drugą kolację”, tak już na sam koniec wieczoru — przed snem. Później wstawaliśmy i szliśmy spać. Jakubowa gasiła światła, jak był prąd — żarówkę, jak nie — lampę naftową.

Pamiętam, że lampa miała taki żółty abażur, a Jakubowa bliznę na wielkim paluchu...



W tym czasie miałam zapalenie wyrostka, od którego mało nie umarłam, bo był ropny, a Jakubowa sądziła, że mnie boli, bo się objadałam zielonego grochu, i położyła mi na brzuchu ciepłą fajerkę w ręczniku.

Ledwo mnie uratowali w szpitalu, bo mi ten ropny wyrostek pękł od ciepłej fajerki, operowano mnie, a potem długo leżałam w domu. Później podejrzewano też u mnie gruźlicę, ale to był zwykły bronchit.

Byłam rozczarowana. Wszyscy byli tak przestraszeni, kiedy się mówiło o tej gruźlicy! Miałam nawet z mamą pojechać do Rabki albo Krynicy... A tu tylko bronchit! Wszystkie dzieci w okolicy to miały. Phi!

Zrobiło się naprawdę biednie.

Szkoły pozamykano, więc mama uczyła nas w domu, sama. Tatuś — matematyki, geografii i ekonomii uczył Piotrka i Hanię. Ja wtedy miałam wolne.

Później chyba chorowałam na szkarlatynę i znów odezwały się płuca. Każdą zimę chorowałam... Aż do tej ostatniej w naszym majątku, co to nawet się nie zaziębiłam, i Jakobowa powiedziała, że wreszcie się wychorowałam i że taka dorosła pannica nie powinna już chorować.

— Dorosła? — kpił Piotrek. — Taki kurczak i „dorosła”? Co też Jakobowa mówi? Ona wygląda jak piąte dziecko stróża! Kurczak! Kurczak! — drażnił się ze mną.

— Piotruś, nie bluźnij, dziecko! — Kucharka zawsze stawiała w mojej obronie. — Tyle się dzieciak nachorował, a ty, że „stróża”?! Wstydzilibyś się! — nadlatywała jak kokoszka.

Ale to krostowaty Piotrek, mój brat właśnie, czytał mi na głos *Serce Amicisa*. Razem płakaliśmy...

Po polsku nauczyła czytać Piotra i Hankę dopiero nasza mama, bo przedtem, kiedy tatko był żonaty z Bertą, słabo stali z polskim. Berta, choć była Niemką, mówiła po polsku, ale z silnym akcentem i niechętnie. Także jej zausznica, Frau Fetke, wiernie ją naśladowała we wszystkim. Obie do siebie i do dzieci mówiły po niemiecku.

Czemu ojciec patriota ożenił się z Niemką? Skąd Bronia w jego życiu?

To była ładna historia, którą opowiedziała mi mama, jak już mnie to zaczęło interesować — czyli kiedy byłam dorosła.

Mama mojego tatki — Jadwiga Lubicka — wydała się za Niemca w akcie patriotyzmu. Ha! Był stary i bogaty, ona uboga szlachcianka, też z dobrego domu — graniczyli majątkami. Jej mająteczek był maleńki i mizerny.

Franz Matz zestarzał się bezdzietnie, owdowiał po raz drugi, a ona jako żona odziedziczyłaby duży majątek. Tak też się stało. Dlaczego się dała wy-swatać? Bo była starą panną ospowatą po czarnej ospie i lekko kulejącą. Przy tym wszystkim miała piękną duszę, mówił tatko. Działała w organizacji patriotycznej, krzewiącej polskość przez prasę i polską literaturę.

Małżeństwo Jadwigi ze starym Matzem było doskonałą przykrywką do jej działalności. Ale niezależnie od tego stworzyli stadło dobre i spokojne. Stary większość czasu siedział w bibliotece, śpiąc na fotelu. Czasem grał z kamerdynerem w szachy, ale już coraz gorzej mu szło. Był cichym, dobrym, schorowanym starszym panem, wdzięcznym Bogu za Jadwigę.

Jadwiga urodziła syna, ku uciesze starego Franza, który dyskretnie nie dochodził, kto jest prawdziwym ojcem. Jadwiga była dobrą, gospodarną żoną, dbała o niego i jeszcze dała mu potomka! Franz miał dość zjadliwej samotności, pustych pokoi i ciszy, coraz ciałniej go otulającej.

Teraz dom pojaśniał, rozgrzał się, słychać było fortepian — od czasu do czasu — śmiech dziecka i szelest damskiej sukni.

Chłopcu dano na imię Michał. Stary go osierocił, gdy mały skończył pięć lat.

Michał wyrósł na mądrego młodzieńca. Włosy z pszennych ściemniały mu bardzo, ale oczy pozostały błękitne. Był kształcony za granicą, znał języki i prawo. Miał służyć, zgodnie z rodzinną tradycją, ojczyźnie.

Po tym, jak zginęła tragicznie jego narzeczona, Michał z dnia na dzień posiwiiał. Oszalał z rozpaczy. Nie jadł, z nikim nie rozmawiał, zapadł się w siebie. Wpłynął na niego dopiero stary pastor i Michał ponownie wyjechał. Zdobywał kolejne stopnie wiedzy. Wkrótce wezwano go do domu. Organizacja potrzebowała prawników, mądrych i przedsiębiorczych ludzi. Michał wrócił z nowym pomysłem — wstąpi do klasztoru albo wyjedzie w podróż dookoła świata. Może na misję do Afryki?

Jednak mama — wdowa po starym Matzu — postawiła przed Michałem zadanie. Podobne do tego, jakie i przed nią stanęło.

— Gdybyś, Michale, ożenił się z Bertą, córką naszych sąsiadów, wówczas przypadłaby na nią w posagu jedna trzecia majątku. Resztę chcą jej rodzice sprzedać i pojechać do starszej córki, do Wiednia.

— Z Niemką? Mamo! Poza tym stara panna i coś z głową nie tak?

Berta była zjawiskową panną. Płomiennorudą, z burzą ognistych loków nad twarzą dość bladą i nakrapianą mnóstwem piegów. Była złośliwa, intrygująca i nikt nie chciał się z nią żenić. Romansować — każdy. Była już stara. Miała swoje lata.

W karnawale na jakimś spotkaniu towarzyskim Michał poznał Bertę i nawet przyznał, że jest interesująca. Cały wieczór przegadali o poezji i muzyce. Jednak serce miał martwe. Ucieszył się więc, gdy szczerze porozmawiali przed ślubem.

Berta oznajmiła bez ogródek, że wie, iż ten ślub to tylko interes. Z rodzicami nie chce jechać do Wiednia, bo miasto ją nuży, i chce pozostać w majątku... Kocha wolność, konie, las. Na ślub zgodziła się pod warunkami:

— Nie będziesz mnie katował lekarzami. Mam już dość! Moja zausznica Frau Fetke wie, jak mi pomóc w razie ataku melancholii! Po drugie, Frau zamieszka ze mną, po trzecie, żadnych poufałości, a dzieci — tym bardziej! I wreszcie duuuużo swobody. Obiecuję nie przynosić ci wstydu, ale moje życie to moje życie!

Dziwne to były zawarowania, ale bardzo na rękę Michałowi.

Pobrali się, połączono majątki... Ich związek był dziwaczny, ale nikogo to nie obchodziło. Berta wiodła swoje życie, szepcząc po kątach ze swoją Frau, jeżdżąc konno i grając na fortepianie. Michał i matka — Jadwiga Lubicka-Matz — wspierali organizacje patriotyczne, wydawali polskie książki, nadto spotykali się z innymi Polakami. Jeździli, kolportowali, brali udział w spotkaniach, koncertach. Muzyka to był wspólny temat Berty i Michała, a poza tym wiedli dość osobne życia.